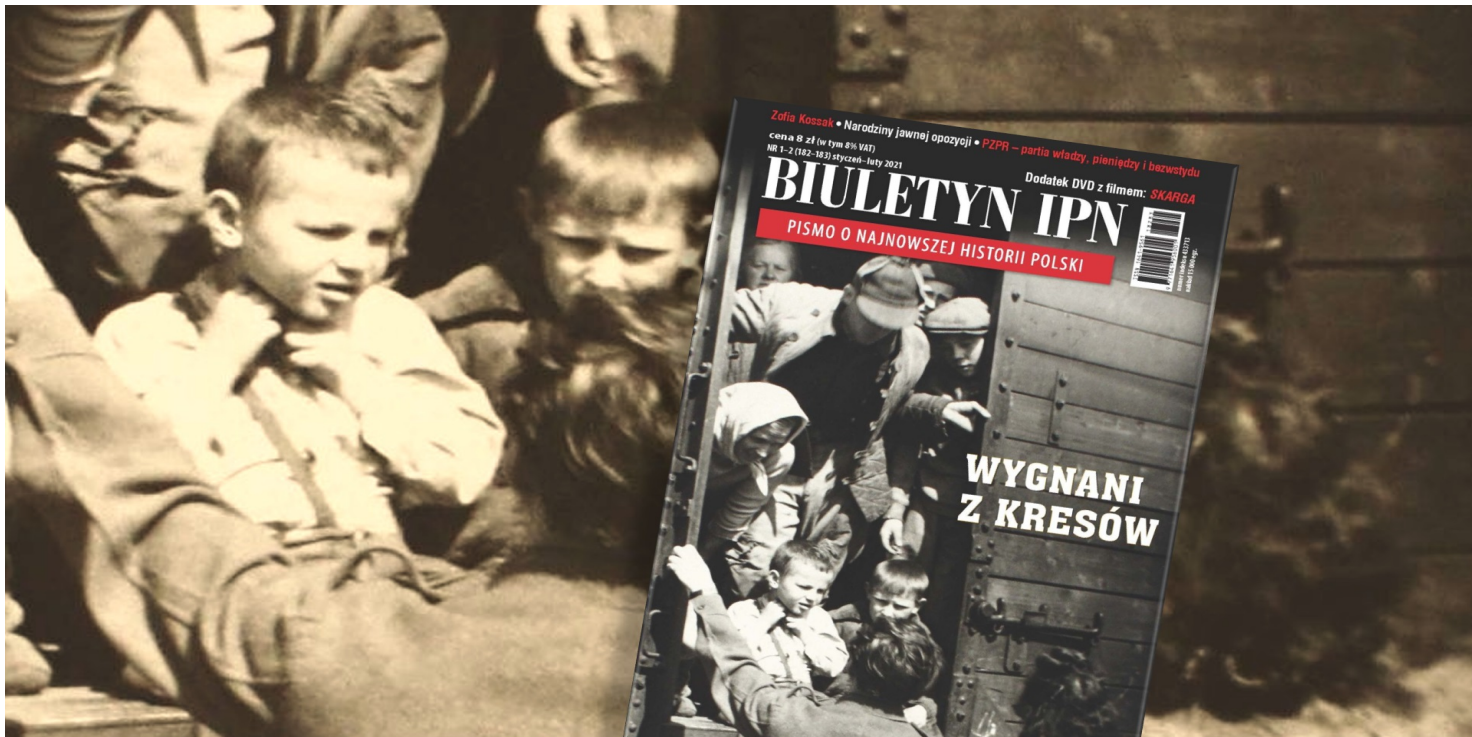


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/wysiedlenia/88828,Byle-nie-dalej-na-zachod-Polacy-z-Kresow-na-Gornym-Slasku.html>



ARTYKUŁ

Byle nie dalej na zachód! Polacy z Kresów na Górnym Śląsku

OKRES HISTORYCZNY

(1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej

Autor: BOGUSŁAW TRACZ 10.01.2022

Pierwsi Kresowianie, głównie z województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego, dotarli na Górny Śląsk w 1945 r., wkrótce po ukonstytuowaniu się polskich władz w Katowicach. Wielu z nich jeszcze długo żywiło nadzieję na

powrót do swoich domostw na wschodzie.

Już w 1943 r., w obawie przed terrorem nacjonalistów ukraińskich i nadejściem frontu, a wraz z nim kolejnej sowieckiej okupacji, wielu mieszkańców Kresów zdecydowało się wyjechać na zachód. W pierwszej połowie 1944 r. w Krakowie i innych miejscowościach w zachodniej części Generalnego Gubernatorstwa mieszkało już sporo przybyszów zza Bugu. Większość z nich korzystała z gościnności rodzin i znajomych, z niecierpliwością wyczekując chwili, kiedy będzie można wrócić do swoich domów. Lecz to, jak się okazało, miało nigdy nie nastąpić.

Utrata ojczyzny

Niespełna tydzień po ukonstytuowaniu się marionetkowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), 27 lipca 1944 r., jego przedstawiciele podpisali w Moskwie porozumienie o wyznaczeniu granicy polsko-sowieckiej wzdłuż tzw. linii Curzona, co oznaczało utratę Kresów Wschodnich. Porozumienie to stało się podstawą do zawarcia 9 września 1944 r. układu między PKWN a Ukraińską Socjalistyczną Republiką Sowiecką o wymianie ludności; rozpoczęły się masowe wysiedlenia Polaków, eufemistycznie nazywane „ewakuacją” lub „repatriacją”. Organizacją i przebiegiem całej operacji transferu ludności zajął się, powołany na mocy dekretu PKWN z 7 października 1944 r., Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR).

Opuszczona przez Niemców, silnie zurbanizowana aglomeracja katowicka dawała nadzieję na polepszenie egzystencji i przeczekać w znośniejszych warunkach do momentu, kiedy będzie można bezpiecznie wrócić do domów pozostawionych na wschodzie, w co większość wierzyła jeszcze długo po tym, kiedy oficjalnie ogłoszono nowy kształt terytorialny powojennej Polski.

Akcje represyjne przeciwko Polakom przeprowadzone na początku 1945 r. we Lwowie i innych miastach, aresztowania i działalność NKWD powodowały, że wielu mieszkańców Lwowa, Drohobycza czy Stanisławowa podjęło decyzję o wyjeździe. W powojennym Lublinie, Krakowie czy Kielcach nie było jednak dla nich miejsca. Trafiali do mieszkań, w których w wielu przypadkach żyło nawet kilka rodzin, gnieźdzących się w niewyobrażalnej ciasnocie. Należało więc rozważyć decyzję o dalszej podróży na zachód.

Pierwsi Kresowianie dotarli na Górny Śląsk już w lutym 1945 r., niebawem po ukonstytuowaniu się polskich władz w Katowicach i niedługo po tym, jak w wyniku operacji sandomiersko-śląskiej Armia Czerwona zmusiła jednostki niemieckie do wycofania się za linię Odry. Opuszczona przez Niemców, silnie zurbanizowana aglomeracja katowicka dawała nadzieję na polepszenie egzystencji i przeczekaanie w znośniejszych warunkach do momentu, kiedy będzie można bezpiecznie wrócić do domów pozostawionych na wschodzie, w co większość wierzyła jeszcze długo po tym, kiedy oficjalnie ogłoszono nowy kształt terytorialny powojennej Polski.



Plakat propagandowy z kampanii referendalnej w 1946 r.

Akcja wysiedleńcza nabrała tempa wiosną 1945 r. W związku z koncepcją tzw. równoleżnikowego przeniesienia ludności i korespondujących stref regionalnych, na Górny Śląsk kierowano przede wszystkim transporty z terenu dzisiejszej Ukrainy. Największy odsetek przesiedlanych Polaków pochodził z obszarów przedwojennych województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego.

W punktach etapowych

Kiedy w drugiej połowie marca 1945 r. rozpoczęto przejmowanie z rąk komendantur wojennych Armii Czerwonej miast i powiatów tzw. Śląska Opolskiego, jak nazywano przedwojenną, niemiecką część regionu, niemal jednocześnie ruszyły przygotowania do skierowania na te obszary Polaków z Kresów. Przy nowo utworzonych zarządach miejskich, m.in. w Bytomiu, Gliwicach i Opolu, powołano odpowiednie struktury oraz zainstalowano w tych miastach oddziały PUR i wytypowano miejsca na tzw. punkty etapowe. Na terenie województwa śląskiego dzieliły się one na: wlotowe (w Bielsku, Koźlu i Dziedzicach), przelotowe (m.in. w Zebrzydowicach) i przeładunkowe (w Katowicach-Ligocie, Bytomiu, Pyskowicach, Karbiu, Łabędach i Mikulczycach). W tych ostatnich dokonywano przeładunku ludzi i mienia z wagonów szerokotorowych na normalnotorowe oraz prowadzono wstępną selekcję „repatriowanych” na osadników miejskich i wiejskich. Największy był punkt w Łabędach, który mógł przyjąć jednorazowo 3 tys. ludzi.

Punkty te powstawały najczęściej w miejscach, które jeszcze niedawno zajmowali jeńcy wojenni, więźniowie lub robotnicy przymusowi, a które po przejściu frontu znalazły się w rękach Armii Czerwonej. Przekazywane urzędnikom PUR, znajdowały się najczęściej w stanie daleko posuniętej dewastacji: powybijane szyby, uszkodzona lub zdemontowana sieć elektryczna i kanalizacyjna, poniszczone sprzęty, brak łóżek i sienników. Brudne i zniszczone pomieszczenia wymagały kompletnego remontu, na co najczęściej nie było środków ani czasu. Tylko dzięki zaangażowaniu pracowników PUR, staraniom urzędników miejskich i ofiarności polskich mieszkańców udawało się w krótkim czasie doprowadzić te miejsca do takiego stanu, by przynajmniej częściowo mogły spełniać wyznaczoną im funkcję, choć i tak warunki w nich panujące były dalekie od wymagań stawianych im w zarządzeniach i zaleceniach przesyłanych z centrali PUR w Łodzi.



**Budynek przy ul. Kobylińskiego 5
- siedziba Wojewódzkiego
Oddziału Państwowego Urzędu
Repatriacyjnego w Katowicach,
1945-1946 r. Fot. AIPN**

W urągających warunkach

Latem 1945 r. na Górny Śląsk coraz częściej docierały transporty, którym pokonanie niecałych pięciuset kilometrów – dzielących przedwojenne województwo lwowskie od terenów poniemieckiego Śląska Opolskiego – zajmowało dwa, trzy, a nawet więcej tygodni. Do punktów etapowych trafiały pociągi pełne ludzi udręczonych wielodniową podróżą, wśród których nie brakowało chorych, starców, kobiet ciężarnych i bardzo małych dzieci. Należało ich otoczyć opieką, zapewnić przynajmniej podstawową pomoc medyczną, a przede wszystkim jedzenie. Szkopuł w tym, że zarządy miejskie same borykały się z poważnymi problemami aprowizacyjnymi. Brakowało również niezbędnych lekarstw i środków opatrunkowych, a zwłaszcza personelu. Tymczasem większość przybyłych nie tylko była wyczerpana długotrwałym transportem, lecz również narzekała na liczne dolegliwości. Były one spowodowane brakiem właściwych warunków higienicznych w trakcie podróży.

W nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 r. do baraku w punkcie etapowym w Gliwicach wdarło się trzech żołnierzy sowieckich, którzy grożąc bronią palną, usiłowali zgwałcić siedemnastoletnią dziewczynę. Dokumenty nie podają, czy doszło do gwałtu. Następnie maruderzy udali się do sąsiednich baraków, gdzie wyłamali drzwi i wybili okna. Celem również były kobiety.

Do 10 maja 1945 r. na opolską część Górnego Śląska dotarło aż czterdzieści transportów. Dowieziono nimi ponad 27 tys. ludzi. Przesiedleńczy strumień trwał w zasadzie nieprzerwanie przez cały rok 1945 i kierował się głównie przez Górny Śląsk w stronę Wrocławia i Dolnego Śląska. W drugiej połowie 1945 r. nastąpiła koncentracja transportów na południu Polski, przy jednoczesnym wyczerpaniu się możliwości osadniczych na Górnym Śląsku i problemach z przyjęciem przesiedleńców przez PUR we Wrocławiu. Zdarzało się, że między Katowicami a Wrocławiem transporty stały przez kilka dni na stacjach, górkach rozrządowych lub, co gorsza, w szczerym polu, bez dostępu do wody i możliwości skorzystania z urządzeń sanitarnych.

Latem 1945 r. przesiedleńcy często opuszczali wagony stojące w polu i kocując wzdłuż torów, czekali na sygnał do odjazdu. Pracownik Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Katowicach, który udał się

wówczas na wizytację opolskiej części Górnego Śląska, pisał, że na trasie kolejowej Opole – Wrocław spotkał całe skupiska przesiedlonych rozłożone po obu stronach torowisk: „rodziny te od trzech tygodni i więcej pozbawione środków żywnościowych, opieki sanitarnej, łudzone obietnicami wyjazdu już »jutro lub za parę dni«, pozostają w warunkach urągających najprymitywniejszym pojęciom bytowania ludzkiego”. Pod koniec 1945 r. sytuację na terenie katowickiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych określano jako katastrofalną. Brak wagonów krytych próbowano uzupełniać, organizując transporty w wagonach otwartych, tzw. węglarkach. Tymczasem jeszcze w sierpniu 1945 r. kierownik punktu etapowego PUR w Katowicach-Ligocie pisał do swoich przełożonych, że na stacji stoi, od przeszło dwóch miesięcy, 120 wagonów załadowanych sowieckimi zdobyczami wojennymi. Sytuację pogarszało obciążenie głównych linii kolejowych przez wojsko sowieckie, którego przewóz traktowano jako priorytetowy.



Przesiedleni zza Buga na jednej ze stacji kolejowych, 1945-1946 r.

Fot. AIPN

Co gorsza, przesiedleńcy przebywający w punktach etapowych byli narażeni na ataki sowieckich maruderów. Na porządku dziennym były informacje o kradzieżach dokonywanych przez czerwonarmistów. Dochodziło również do groźniejszych wypadków. Na przykład w nocy z 20 na 21 kwietnia 1945 r. do baraku w punkcie etapowym w Gliwicach wdarło się trzech żołnierzy sowieckich, którzy grożąc bronią palną, usiłowali zgwałcić siedemnastoletnią dziewczynę. Dokumenty nie podają, czy doszło do gwałtu. Następnie maruderzy udali się do sąsiednich baraków, gdzie wyłamali drzwi i wybili okna. Celem również były kobiety. Dopiero kiedy ich krzyki zbudziły pozostałych mieszkańców, napastnicy się oddalili. O gwałceniu kobiet i dziewcząt przez sowieckich żołnierzy informowano także w sprawozdaniu z kontroli punktów etapowych w okolicach Katowic przeprowadzonej latem 1945 r. Zachowane źródła obfitują w informacje o napadach czerwonarmistów na przesiedleńców, a o skali zjawiska może świadczyć to, że w kilku przypadkach trzeba było wzywać do pomocy milicję i wojsko.

Nie chcieli jechać dalej

Zamiarem władz było skierowanie w drugiej połowie 1945 r. jak największej części transportów ze wschodu w stronę Wrocławia i dalej, tak by w miarę szybko i sprawnie zapełnić osadnikami miasta i wsie Dolnego Śląska. Jednak większość przybyszów, po dotarciu do punktów etapowych PUR na Górnym Śląsku, bynajmniej nie zamierzała jechać dalej. Bytom czy Gliwice, a w najgorszym razie położone nieco dalej na zachód Opole były postrzegane jako kres podróży, nawet jeśli urzędnicy przekonywali, by jechać dalej, i twierdzili, że w miastach tych nie ma już miejsca, na zachodzie zaś czekają puste i lepsze domy czy mieszkania. Powodów niechęci do kontynuacji podróży było wiele, jednak nadrzędnymi okazywały się odległość i strach. Po pierwsze, nie chciano jeszcze bardziej oddalać się od miejsc pozostawionych na wschodzie. Liczono, że lada chwila los się odmieni i będzie można, a nawet trzeba wracać. Po drugie, obawiano się dalszej podróży w nieznaną, na ziemię postrzegane nie tyle jako „odzyskane”, ile po prostu niemieckie, a zatem cudze i obce. Do kontynuacji podróży nie zachęcały również informacje o działalności sowieckich maruderów i polskich szabrowników, a także plotki o grasujących oddziałach niemieckiej partyzantki i mającej niebawem wybuchnąć III wojnie światowej.

Ci, którzy nie chcieli jechać dalej, nalegali, by pozwolono im pozostać w górnośląskich miastach. Tymczasem już w połowie 1945 r. chłonność osadnicza Bytomia, Gliwic czy Zabrze się wyczerpała. Żeby przyjąć nowych mieszkańców, trzeba było przyspieszyć akcję wysiedlania Niemców, czego nie chciano przeprowadzić bez czasochłonnej weryfikacji narodowościowej. Miasta dosłownie pękały w szwach. Tym bardziej że oprócz akcji osadniczej prowadzonej przez PUR nagminne były przypadki osiedlania się „na własną rękę”. Opuszczano transporty, wiedząc, że wcześniej znaleźli w tych miastach mieszkania krewni czy znajomi. Wprowadzano się do nich albo samowolnie zajmowano puste lokale i dopiero wtedy podejmowano w Oddziale PUR lub w urzędzie mieszkaniowym działania na rzecz zalegalizowania pobytu.



**Pociąg z przesiedlonymi ze
Wschodu na jednej ze stacji na
terenie Śląska, 1945-1946 r. Fot.**

AIPN

Jesienią 1945 r. oficjalnie ogłoszono zakończenie akcji osadniczej w trzech wspomnianych wcześniej miastach, mimo że w dalszym ciągu trwał napływ nowych mieszkańców, których jednak w miarę możliwości starano się kierować do innych, mniejszych miejscowości na terenach powiatów gliwickiego i opolskiego.

W cudzych mieszkaniach

Ci, którzy utracili mieszkania i inne mienie za Bugiem, mieli, po przedstawieniu stosownych dokumentów, otrzymać jako ekwiwalent odpowiednie mieszkania wraz z wyposażeniem. To, co teoretycznie wydawało się proste, w wielu przypadkach okazywało się niewykonalne. Spory kompetencyjne między oddziałami PUR, Tymczasowym Zarządem Państwowym i urzędami mieszkaniowymi przy zarządach miejskich powodowały, że nie chciano przekazać mieszkań na potrzeby przybyszów; zdarzało się nawet, że odbierano przyznane im wcześniej lokale. Miały miejsce przypadki zakwaterowania w mieszkaniach, w których ktoś już został osiedlony lub w których wciąż jeszcze przebywali dotychczasowi mieszkańcy. Problemem było również wyposażenie. Armia Czerwona, jak i polscy szabrownicy potrafili dokonać niebywałych spustoszeń, tak że wiele mieszkań, do których wprowadzali się nowi domownicy, było dosłownie pustych. Brakowało nie tylko mebli, infrastruktury grzewczej czy wyposażania łazienek, lecz często również szyb w oknach, parkietów czy drewnianych podłóg, a nawet mosiężnych klamek w drzwiach. Teoretycznie, za niewielką opłatą, istniała szansa otrzymania wyposażenia za pośrednictwem urzędów miejskich, w których gestii leżało tzw. mienie opuszczone i ponemieckie, jednak i tam nie wszystko, co niezbędne do urządzenia sobie życia, było dostępne.



**Dziennikarze w Punkcie
Etapowym Państwowego Urzędu
Repatriacyjnego w Bytomiu,**

Mimo wstrzymania od jesieni 1945 r. akcji osadniczej, do oddziałów PUR i urzędów mieszkaniowych w górnośląskich miastach wciąż pukali Polacy z Kresów z nadzieją otrzymania mieszkania. Oczekiwano na zakończenie akcji weryfikacyjnej i wysiedlenie ludności niemieckiej, choć zdawano sobie sprawę z tego, że nie rozwiąże to problemu mieszkaniowego. Większość Niemców oczekujących na wyjazd na zachód przebywała już w obozach przesiedleńczych, a ich mieszkania zostały zajęte przez nowych lokatorów. Ci, którzy pozostali jeszcze w swoich domach, w wielu przypadkach musieli dzielić je z nowymi lokatorami. Tylko nieliczni rdzenni mieszkańcy oczekiwali na weryfikację i wysiedlenie we własnych lokalach bez sublokatorów, ale i te mieszkania były już najczęściej rozdzielone.

Na pobyt czasowy

Ostra zima na początku 1946 r. wstrzymała napływ transportów ze wschodu, które ruszyły znów, jak tylko zelżał mróz. Wiosną 1946 r. praca przy transportach szła sprawniej niż rok wcześniej. Wyciągnięto wnioski z niepowodzeń poprzedniego roku, dysponowano już znacznie lepszym zapleczem, poprawiła się aprowizacja, a co najważniejsze – większość linii kolejowych i przydworcowej infrastruktury nie była już w rękach sowieckiej armii.

Choć teoretycznie takie miasta, jak Bytom czy Gliwice, były już zamknięte dla osadników, w praktyce wciąż przyjeżdżali do nich przybysze ze wschodu. Zwłaszcza że spora część przybywających transportami organizowanymi od wiosny 1946 r., odnajdywała w tych miastach krewnych i znajomych, którzy składali deklaracje, że zobowiązują się zapewnić nowo przybyłym dach nad głową i utrzymanie. Dopiero wówczas PUR zgadzał się na zarejestrowanie takiej osoby lub całej rodziny, ale tylko na pobyt czasowy, bez prawa do ubiegania się o mieszkanie. Potem, kiedy mieszkający kątem znaleźli pracę, mogli się starać o zmianę swojego statusu, otrzymać stałe zameldowanie i rozpocząć zabiegi o przydział mieszkania.



**Izba chorych w ośrodku dla
przesiedlonych w Bytomiu,
1945-1946 r. Fot. AIPN**



**Rozmowa z przesiedleńcami ze
Wschodu na jednej ze stacji na
terenie Śląska, 1945-1946 r. Fot.
AIPN**

O ile ci, którzy znaleźli się na Górnym Śląsku wiosną i latem 1945 r., w ciągu kilkunastu miesięcy zdążyli się zagospodarować, o tyle w znacznie gorszej sytuacji byli przybywający w 1946 r. Trafiali do miast już zasiedlonych, w których brakowało mieszkań, a wszystkie lepsze miejsca pracy były zajęte. Nie pomagały przy tym prośby i namowy urzędników, którzy przekonywali, że do nowej, powojennej granicy państwa jest jeszcze ponad trzysta kilometrów na zachód, a po drodze znajdują się miejscowości wciąż czekające na zasiedlenie. Przesiedleńcy nie chcieli jechać dalej.

W nowym otoczeniu

Po „repatriacji” powoli rekonstruowano struktury społeczne i instytucje. Powstały liczne zakłady rzemieślnicze, prywatne restauracje i kawiarnie nazwą, a często i wystrojem nawiązujące do miejsc bezpowrotnie utraconych. Ostoją tradycji kresowych było w pierwszych latach harcerstwo, w którym odnalazło się sporo instruktorów i harcerzy Chorągwi Lwowskiej, jak również z innych zabużańskich miejscowości. Ważną część przybyszów stanowiła inteligencja – nauczyciele, urzędnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, naukowcy. Najwięcej z nich trafiło ze Lwowa, przez Górny Śląsk, do Wrocławia, ale nie tylko. Spośród innych miast należy

wymienić m.in. Opole, Bytom i przede wszystkim Gliwice, gdzie utworzono Politechnikę Śląską, w dużej mierze bazującą na pracownikach Politechniki Lwowskiej.

Wielu, nawet jeśli na co dzień posługiwało się śląskim etnolektem i otwarcie deklarowało swą polskość, było, chcąc nie chcąc, mocno osadzonych w kulturze niemieckiej, czego zazwyczaj nie rozumieli Polacy ze wschodu, nierzadko boleśnie doświadczeni w okresie niemieckiej okupacji.

Liczni Kresowianie po przybyciu na Górny Śląsk zaangażowali się w życie polityczne, zarówno w partiach i organizacjach działających legalnie (przede wszystkim w Polskim Stronnictwie Ludowym, opozycyjnie nastawionym do dążeń komunistów), jak i w strukturach nielegalnych oraz oddziałach antykomunistycznego podziemia zbrojnego. Istotną rolę w niezależnych organizacjach politycznych i formacjach zbrojnych odgrywała młodzież.

Adaptacja przesiedleńców w nowym miejscu w większości przypadków napotykała niezliczone trudności. Problem ten dotyczył całości tzw. ziem przyłączonych, ale Górny Śląsk miał swoją specyfikę. W odróżnieniu od Dolnego Śląska czy Pomorza Zachodniego pozostała tu spora grupa ludności rodzimej, mającej odmienne doświadczenia historyczne i własne wzorce kulturowe. Wielu, nawet jeśli na co dzień posługiwało się śląskim etnolektem i otwarcie deklarowało swą polskość, było, chcąc nie chcąc, mocno osadzonych w kulturze niemieckiej, czego zazwyczaj nie rozumieli Polacy ze wschodu, nierzadko boleśnie doświadczeni w okresie niemieckiej okupacji. Przybysze, inaczej niż rodowici Górnoślązacy, nie mieli braci, mężów czy ojców w Wehrmachcie, nie kończyli niemieckich szkół i nie byli nigdy pełnoprawnymi obywatelami państwa niemieckiego. Jednak różnic, a tym samym punktów generujących konflikty było znacznie więcej. Pierwszym, bez wątpienia najistotniejszym elementem różnicującym te dwie społeczności był język: używane słowa, wyrażania, akcent, melodyjność. Dla wielu mieszkańców Kresów Południowo-Wschodnich, którzy nigdy wcześniej nie mieli styczności z Górnym Śląskiem, tutejsza mowa była zupełnie obca – zbyt twarda i za bardzo nasycona germanizmami, by mogła się spotkać ze zrozumieniem i aprobatą. Różnice nie kończyły się na dialekcie. Inne były sfery obrzędowości rodzinnej, zwyczaje, nawyki. Odmienność dotyczyła nawet praktyk religijnych, choć miejscowi i przybysze w większości byli katolikami.



Wierni zebrani przy Grocie Lurdzkiej na Górze św. Anny podczas uroczystości dożynkowej. Fotografia z albumu Wojewódzkiego Oddziału Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach 1945-1946, ze zbiorów AIPN

Kościół odegrał jednak ważną rolę integracyjną. Księża zachęcali do udziału w tradycyjnych świątach i uroczystościach religijnych. Kiedy w maju 1946 r. zbliżały się doroczne uroczystości na Górze św. Anny, w parafiach deklaracje uczestnictwa zgłosiła również spora część dawnych mieszkańców Kresów. Komentarz sprawozdawcy Zachodniej Agencji Prasowej, który uznał to za dowód

„stopniowego zanikania antagonizmu między obu tymi warstwami społeczeństwa, a wytwarzania się ścisłej wspólnoty narodowej”,

należy potraktować raczej jako postulat niż stwierdzenie faktu. Kiedy 3 maja 1946 r. doszło w Gliwicach do manifestacji z okazji obchodów Święta Trzeciego Maja, masowo wzięli w niej udział studenci Politechniki Śląskiej i nowi gliwiczanie z Kresów i Polski centralnej, a w zasadzie nie spotkała się ona z większym zainteresowaniem wśród ludności rodzimej.

Jedną z przyczyn antagonizmu były spory o mienie. Wzajemną nieufność i obawy pogłębiały napady rabunkowe i kradzieże, przy czym ludność miejscowa przyczynę takiego stanu rzeczy widziała najczęściej w przybyszach z Polski centralnej i ze wschodu. Ci zaś często traktowali mienie miejscowych jako należny

ekwiwalent za dobra utracone za Bugiem.

Trudne wrastanie w Górny Śląsk

Adaptacja wysiedlonych z Kresów w nowym miejscu zamieszkania przebiegała z trudem. Różnice językowe, odrębność kulturowa, przekonanie o niesprawiedliwości przesiedlenia, poczucie tymczasowości – wszystko to z pewnością nie ułatwiało życia w nowym otoczeniu. Brak zrozumienia, wzajemne niechęci i urazy generowały konflikty między ludnością miejscową a nowymi mieszkańcami. Odmienność kulturowa regionu zdecydowanie niekorzystnie oddziaływała na przybyszów. Oczywiście nie należy uogólniać, zdarzały się bowiem wyjątki. Wbrew oficjalnej, antyniemieckiej propagandzie, różnice narodowościowe, kulturowe i językowe nie zawsze uniemożliwiały dobrosąsiedzkie współżycie, które w wielu przypadkach kończyło się przyjaźniami, a nawet mieszanymi małżeństwami.



Afisz reklamowy składu papierów i artykułów biurowych oraz szkolnych w Gliwicach należącego do Polaków ze Lwowa, 1946 r. Fot. Archiwum Państwowe w Katowicach - Oddział w Gliwicach

Często można się spotkać z opinią, że na wzajemne stosunki między starymi i nowymi mieszkańcami, jak również na zachowanie się tych ostatnich wpływ miały różnice w poziomie życia – wyższym na zindustrializowanym i zurbanizowanym Górnym Śląsku niż na terenach kresowych województw, w dużej mierze wiejskich i rolniczych. Tezę o „wyższości cywilizacyjnej” ziem przyłączonych do państwa polskiego po 1945 r. głosiła również komunistyczna propaganda, by w ten sposób przekonać społeczeństwo do powojennej zmiany granic jako w gruncie rzeczy opłacalnego „aktu sprawiedliwości dziejowej”.

Zakorzenione po dziś dzień stereotypy, popularne zwłaszcza w lokalnej publicystyce, każą przeciwstawiać „nędzarzy ze Wschodu” ucywilizowanym mieszkańcom Górnego Śląska. Bez wątpienia poziom życia na Górnym Śląsku szokował mieszkańców wsi, przysiółków i małych miasteczek leżących na dawnej polskiej ścianie wschodniej. Przejęcie poniemieckich mieszkań i gospodarstw mogło być, i pewnie było, korzystną zmianą standardu. Jednak nie wszystkim ukazała się „ziemia obiecana” i wbrew pozorom nie każdy zachwycał się „familokami” i bieżącą wodą w kranach. Wśród Kresowian przybywających do swej nowej ojczyzny nie brakowało i takich, dla których poziom życia w miastach i osiedlach Górnego Śląska był czymś normalnym. Dotyczy to przede wszystkim wysiedlonych ze Lwowa, będącego przez stulecia politycznym i kulturowym centrum Małopolski Wschodniej i miastem uważanym za główny, obok Krakowa, ośrodek nauki i kultury polskiej na południu kraju. Przez lwowiaków osiedlenie w przemysłowym Zabrze czy nawet mniej uprzemysłowionych Gliwicach było często odbierane jako osobista tragedia. Również ci, którzy zamieszkali w Opolu czy we Wrocławiu, długo jeszcze adaptowali się w nowym miejscu, a wielu nigdy nie pogodziło się z utratą „małej ojczyzny” na wschodzie i nie zaakceptowało zmian, do których zostali zmuszeni. Adam Zagajewski w jednym ze swych wspomnień-opowiadań napisał:

„w roku 1945 prawie cała rodzina pakowała walizki i skrzynie i przygotowywała się do opuszczenia Lwowa i okolic. W tym samym czasie pakowały się też niezliczone niemieckie rodziny, którym kazano porzucić ich domy i mieszkania na Śląsku, w Gdańsku, w Szczecinie, Olsztynie i Królewcu. [...] W październiku tego roku znaleźliśmy się w gorszym mieście, Gliwicach. [...] Jakie to było miasto? Gorsze. Mniejsze. Niepozorne. Przemysłowe. Obce. Moja mama płakała, chodząc jego ulicami”.

Wielu Zabuzan do końca życia nie pogodziło się z utratą Lwowa, Stanisławowa czy Drohobycza. Przez pierwsze powojenne lata wciąż liczone na to, że los się jeszcze odmieni i powrót na wschód, „do siebie”, okaże się możliwy. Krążące plotki o mającej nadejść III wojnie światowej niosły nadzieję nie tyle na kolejny krwawy konflikt, ile na zmianę pojałtańskiego układu sił w Europie i powrót do przedwojennych granic. Nic takiego się nie stało. Mimo to niektórzy wciąż trzymali w domach nierozpakowane drewniane skrzynie albo chociaż walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami, na wypadek gdyby nagle okazało się, że mogą wracać tam, skąd ich wypędzono – do domu. W szufladach i szkatułkach przechowywano, niczym najcenniejsze relikwie, klucze do pozostawionych mieszkań. Wciąż z nadzieją, że kiedyś znów zostaną użyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

COFNIJ SIĘ